



KEN FOLLETT

PAPIEROWE PIENIĄDZE



ALBATROS

Tytuł oryginału:
PAPER MONEY

Copyright © Ken Follett 1977
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Zofia Uhrynowska-Hanasz 2011

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Zdjęcia na okładce: pio3/Shutterstock.com (*mapa*),
Christian Mueller/Shutterstock.com (*Londyn*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Szósta rano

ROZDZIAŁ 1

Była to najlepsza noc w moim życiu.

Ta myśl przyszła Timowi Fitzpetersonowi do głowy, kiedy tylko otworzył oczy i w chłodnym świetle londyńskiego świtu zobaczył śpiącą obok siebie dziewczynę. Nie poruszył się, żeby jej nie obudzić, ale popatrzył na nią ukradkiem. Leżała na wznak, całkowicie wyluzowana, jak to potrafią jedynie małe dzieci. Przypominała Timowi jego córkę Adrienne, kiedy była mała. Ale szybko odsunął od siebie tę nieproszoną myśl.

Dziewczyna miała rude włosy, które przylegały jej do głowy ciasno jak czepek, odsłaniając małe uszy. Rysy też miała drobne: nos, brodę, kości policzkowe, nawet zęby. W pewnym momencie w nocy przykrył jej twarz swoimi wielkimi niezdarnymi łapskami, delikatnie dotykając palcami powiek i policzków i rozchylając miękkie wargi dziewczyny, jakby mógł poczuć jej piękno przez skórę, tak jak się czuje bijący od ognia żar.

Jej lewa ręka spoczywała bezwładnie na kołdrze, zsuniętej nieco w dół i odsłaniającej szczupłe, kruche ramiona i płaską pierś z miękkim od snu sutkiem.

Leżeli obok siebie, właściwie się nie dotykając, chociaż Tim czuł ciepło uda dziewczyny. Przeniósł wzrok na sufit, przez moment poddając się czystej rozkoszy zapamiętanego cudzołóstwa, którą odbierał jak przejmujący dreszcz, po czym wstał.

Wpatrzony w dziewczynę, przez chwilę nie oddalał się od

łóżka, ale ona nawet nie drgnęła. Prawdomówne światło poranka w niczym nie umniejszało jej urody – mimo zmierzwionych włosów i rozmazanego makijażu. Znacznie surowiej obeszło się z nim – co do tego Tim nie miał wątpliwości. I właśnie dlatego nie chciał obudzić dziewczyny – zanim go zobaczy, wołał najpierw sam spojrzeć w lustro.

Ruszył do łazienki przez salon, skradając się po dywanie w kolorze spłowiałej zieleni. Nagle spojrzał na swoje mieszkanie, jakby je widział po raz pierwszy w życiu, i wydało mu się beznadziejnie niezachęcające. Na wypłowiałym dywanie stała jeszcze bardziej wypłowiała zielona sofa, z poduszkami w ledwie widoczne kwiaty. Umeblowania dopełniały: proste drewniane biurko, jakich pełno we wszystkich biurach, stary czarno-biały telewizor, szafa na dokumenty oraz półka z książkami z zakresu ekonomii i prawa plus kilka tomów Hansarda. Kiedyś posiadanie pied-à-terre w Londynie wydawało mu się czymś niesłychanie szykownym.

W łazience było duże lustro, kupione nie przez Tima, tylko przez jego żonę jeszcze w czasach, zanim całkowicie wycofała się z miejskiego życia. Czekając, aż wanna napełni się wodą, popatrzył w lustro: zastanawiał się, co może być w ciele mężczyzny w średnim wieku tak bardzo pociągającego dla pięknej – pewnie dwudziestopięcioletniej? – dziewczyny, żeby ją wprowadzić w paroksyzmy pożądania. Był zdrowy, ale niewysportowany; w każdym razie nie w tym sensie, w jakim się to rozumie, mając na myśli mężczyzn, którzy regularnie odwiedzają sale gimnastyczne. Był też niski, a jego krępą sylwetkę obciążał pewien nadmiar tłuszczu, najwyraźniej widoczny na piersiach, w pasie i na pośladkach. Miał niezłą kondycję jak na czterdziestojednoletniego mężczyznę, ale nie

było to nic takiego, co mogłoby podniecać kobiety.

Lustro zaszło mgłą i Tim wszedł do wanny. Oparł głowę o brzeg i zamknął oczy. Uświadomił sobie, że spał niecałe dwie godziny, mimo to czuł się całkiem świeżo. Wpojono mu przeświadczenie, że ból i zła forma fizyczna czy nawet choroba są skutkiem nieprzespanych nocy, tańców, cudzołóstwa i ostrego picia. A wszystkie te grzechy ściągają karę bożą.

Ale przecież te grzechy to sama rozkosz. Mydląc się leniwie, pomyślał: a wszystko się zaczęło podczas jednej z tych koszmarnych kolacji – koktajl grejpfrutowy, zbyt wysmażony befsztyk i „wielkie żarcie” dla trzystu członków bezużytecznej organizacji. Przemówienie Tima było jeszcze jedną prezentacją strategii rządu, tak wyważoną, żeby trafiała do określonych grup słuchaczy. Kiedy kolacja się skończyła, zgodził się pójść na drinka z jednym z kolegów, błyskotliwym młodym ekonomistą, i dwiema średnio interesującymi osobami spośród publiczności.

Gdy weszli do nocnego klubu, gdzie ktoś opłacił wstęp, Tim tak się rozochocił, że zamówił butelkę szampana, płacąc kartą kredytową. Przyłączyło się do nich kilku ludzi: dyrektor wytwórni filmowej, o którym kiedyś słyszał, dramatopisarz, o którym nigdy nie słyszał, lewicowy ekonomista uśmiechający się ironicznie i unikający rozmów na tematy zawodowe oraz jakieś dziewczyny.

Szampan i program rozrywkowy rozgrzały go lekko. Kiedyś zabrałby Julię w tym momencie do domu i kochał się z nią brutalnie, co ona nawet od czasu do czasu lubiła. Ale teraz Julia nie przyjeżdżała do miasta, a on nie chodził do nocnych klubów, w każdym razie nie zdarzało się to zbyt często.

Kobiet nikt nie przedstawił, więc zaczął rozmawiać z siedzącą obok niego rudą, płaską jak deska dziewczyną w długiej jasnej

sukience. Wyglądała na modelkę, ale powiedziała, że jest aktorką. Założył, że wyda mu się nudna – i nawzajem – ale szybko uświadomił sobie, że ten wieczór będzie wyjątkowy: dziewczyna uznała go za interesującego.

Pochłonięci rozmową, nie zwracali uwagi na resztę towarzystwa. W końcu ktoś zaproponował zmianę lokalu. Tim bez namysłu powiedział, że idzie do domu, ale ruda złapała go za rękę, prosząc, żeby jeszcze został, a on, po raz pierwszy od dwudziestu lat mając szansę okazać galanterię wobec pięknej kobiety, natychmiast się zgodził.

Wychodząc z kąpeli, zastanawiał się, o czym tak długo wtedy rozmawiali. Stanowisko wiceministra w resorcie energetyki nie dostarczało chyba tematów do konwersacji podczas cocktail party – wszystko było albo techniczne, albo poufne. Może więc rozmawiali o polityce. Ciekawe, czy opowiadał pikantne anegdotki o politykach z pierwszych stron gazet ze śmiertelnie poważną miną? Nie mógł sobie tego przypomnieć. Pamiętał tylko, jak siedziała: całym ciałem podana w jego stronę.

Wytarł mgłę z lustra i ogolił się, oceniając wzrokiem swoje dzieło. Miał ciemny zarost i pewnie miałby gęstą brodę – gdyby ją chciał zapuścić. Reszta jego twarzy była raczej zwyczajna. Lekko cofnięty podbródek, ostry, spiczasty nos z dwiema symetrycznymi białymi plamami po obu stronach będącymi efektem trzydziestopięcioletniego noszenia okularów, ponuro wygięte usta, zbyt duże uszy i inteligentnie wysokie czoło. Na podstawie takiej twarzy trudno ocenić charakter człowieka. Była to twarz, która miała ukrywać myśli i uczucia.

Włączył maszynkę i zaczął golić lewy policzek. Nawet nie był brzydki. Słyszał, że niektóre dziewczyny gustują w brzydkich facetach – cóż, kiedy nie mieścił się nawet w tej niezbyt fortunnej

kategori.

Może nadszedł czas, żeby się nad tym zastanowić. Klub, do którego się przenieśli, należał do tych, do jakich nigdy by nie wszedł. Nie był wielbicielem muzyki, a jeśli już, to z pewnością nie takiego strasznego łomotu zagłuszającego wszystkie rozmowy. Mimo to tańczył w takt tej muzyki, wykonując nerwowe, szarpane ekshibicjonistyczne ruchy, które tu wydawały się całkowicie na miejscu. Uznał, że nie odstaje od ogółu – nie zauważył ironicznych uśmieszków na twarzach innych gości. Możliwe, że wielu z nich było w jego wieku.

Didżej, brodaty młody mężczyzna w T-shircie z nadrukiem „Harvard Business School”, grał jakąś powolną balladę, którą śpiewał mocno zaziębiony Amerykanin. Tim i dziewczyna byli w tym czasie na parkiecie. Partnerka przytuliła się do niego i objęła go ramionami. Wtedy się zorientował, że to nie żarty; musi zdecydować, czy i on traktuje ją równie poważnie. Czując na sobie jej gorące, smukłe ciało, przylegające do niego jak mokry ręcznik, szybko podjął decyzję. Pochylił się – dziewczyna była niewiele niższa od niego – i szepnął jej do ucha: „Zapraszam cię do siebie na drinka”.

W taksówce zaczął ją całować – było to coś, czego nie robił od lat. Pocałunek tak go rozpałił, że dotknął piersi dziewczyny, cudownie małych i jędrnych pod luźną sukienką. Po tym wszystkim trudno było im się powstrzymać, kiedy znaleźli się w domu.

Darowali sobie zwyczajowego drinka. Musieliśmy wylądować w łóżku chyba w ciągu minuty, pomyślał zadowolony z siebie Tim. Skończył golenie i rozejrzał się za wodą kolońską. W wiszącej szafce znalazł jakąś starą butelkę.

Wrócił do sypialni. Dziewczyna nadal spała. Wziął szlafrok

i papierosy i usiadł na krześle przy oknie. Byłem fantastyczny w łóżku, pomyślał, choć wiedział, że się oszukuje – to do niej należała inicjatywa. To za jej sprawą robili rzeczy, których nie zaproponowałby Julii nawet po piętnastu latach sypania w jednym łóżku.

Julia... Niewidzącym wzrokiem patrzył z okna parteru przez wąską ulicę na wiktoriański budynek szkoły z czerwonej cegły, z mizernym boiskiem pokrytym spłowiałymi żółtymi pasami do gry w siatkówkę. Jego stosunek do Julii się nie zmienił: jeśli kochał ją dawniej, to kochał ją i teraz. Ta dziewczyna to było co innego. Ale czy nie w ten sposób każdy dureń tłumaczy sobie te sprawy, pakując się w romans?

Nie ma się co spieszyć – powiedział sobie. Dla niej to może być numer na jedną noc. Trudno zakładać, że będzie chciała się z nim jeszcze spotkać. Mimo to wołał określić swoje własne cele, zanim zapyta, jakie są jej oczekiwania. Praca w rządzie nauczyła go, że każde spotkanie musi być poprzedzone briefngiem.

W skomplikowanych sytuacjach trzymał się pewnej sztywnej zasady. Pytanie pierwsze brzmiało: co mam do stracenia?

I znów Julia: pulchna, inteligentna, pogodna; z każdym rokiem macierzyństwa jej horyzonty nieuchronnie się zawężały. Był czas, kiedy żył tylko dla niej: kupował ubrania, jakie lubiła, czytał powieści, bo Julia interesowała się powieściami, a sukces polityczny, jaki odniósł, cieszył go głównie dlatego, że cieszył ją. Ale środek ciężkości jego życia uległ przesunięciu. Teraz Julia zajmowała się tylko błahostkami. Chciała mieszkać w Hampshire, a że jemu było wszystko jedno, więc mieszkali w Hampshire. Chciała, żeby nosił marynarki w kratkę, ale westminsterski szyk wymagał spokojnych garniturów, więc nosił ciemne szarości w delikatne prążki lub granaty.

Próbując analizować swoje uczucia, doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy niewiele go z Julią łączy. Z pewnością jakiś sentyment, nostalgiczny obraz młodej dziewczyny z końskim ogonem, tańczącej jive'a w wąskiej spódnicy. Czy była to miłość, czy coś innego? Miał wątpliwości.

A dziewczynki? To zupełnie inna sprawa. Katie, Penny i Adrienne. Jednak tylko Katie była na tyle dojrzała, żeby rozumieć, co to jest miłość i małżeństwo. Nieczęsto go widywały, ale wychodził z założenia, że trochę ojcowskiej miłości jest lepsze niż całkowity brak ojca. Nie widział tu miejsca na dyskusję: jego pogląd był ugruntowany.

No i wreszcie kariera. Rozwód mógł nie zaszkodzić wiceministrowi, ale ministrowi już tak. Nigdy też nie słyszał o rozwiedzionym premierze, a mierzył aż tak wysoko.

Miał zatem wiele do stracenia – szczerze mówiąc, wszystko, na czym mu naprawdę zależało. Popatrzył na łóżko. Dziewczyna odwróciła się na bok twarzą w drugą stronę. Strzygła się krótko, odsłaniając smukłą szyję i ładne ramiona. Jej plecy zwężyły się gwałtownie i kończyły wąską talią; resztę kryła skotłowana kołdra. Miała lekko ogorzałą skórę.

Z drugiej strony tak wiele było do zyskania. Radość – słowo, dla którego Tim rzadko dotychczas znajdował zastosowanie; teraz jednak zaczął o nim myśleć. Jeśli wcześniej w ogóle zaznał jakiegokolwiek radości, to nie pamiętał kiedy. Satysfakcja, owszem – dawało ją napisanie wyczerpującego sprawozdania, wygranie jednej z niezliczonych potyczek w różnych komitetach i w Izbie Gmin, wartościowa książka i dobre wino. Ale dzika przyjemność, jaką przeżył z tą dziewczyną, była dla niego czymś nowym.

Najważniejsza zasada brzmiała: zsumuj wszystkie za i przeciw

i dokonaj bilansu. W tym wypadku jednak nie działała. Według niektórych znajomych Tima nie działała nigdy. Być może mieli rację. Błędem byłoby sądzić, że raczej można policzyć jak banknoty. Przypomniało mu się jedno z zagadnień omawianych na wykładach z filozofii: „usypianie» inteligencji za pomocą języka”. Co jest dłuższe – samolot czy jednoaktówka? Co wolę – satysfakcję czy radość? Poczuł, że mąci mu się w głowie. Prychnął z niesmakiem i szybko spojrzął na łóżko, żeby sprawdzić, czy nie obudził dziewczyny. Ale nie, spała dalej. To dobrze.

Tymczasem na ulicy, w odległości niecałych stu metrów od nich, przy krawężniku zatrzymał się szary rolls-royce. Nikt z niego nie wysiadł. Tim przyjrzał się samochodowi i zobaczył, że szofer rozkłada gazetę. Szofer, który podjechał po kogoś o szóstej trzydzieści rano? Biznesmen, który jechał przez całą noc i dotarł do celu za wcześniej? Tim nie był w stanie przeczytać tablicy rejestracyjnej, widział jednak, że kierowca to potężny mężczyzna, tak potężny, że wewnątrz samochodu wydawało się ciasne jak w mini cooperze.

Wrócił myślą do swojego problemu. Jak postępujemy w polityce, kiedy stajemy wobec dwóch bardzo ważnych, ale sprzecznych ze sobą potrzeb? Odpowiedź narzucała się sama: wybieramy działanie, które w sposób pozorny albo rzeczywisty pozwala osiągnąć oba cele. Równoległość jest czymś oczywistym. Pozostanie w małżeństwie z Julią i nawiąże romans z dziewczyną. Takie wyjście wydawało się bardzo polityczne i w pełni go satysfakcjonowało.

Zapałił kolejnego papierosa i zaczął myśleć o przyszłości. Był to przyjemny sposób spędzania czasu. Czekало go jeszcze wiele nocy w tym mieszkaniu; od czasu do czasu weekend w małym hoteliku na wsi; może nawet dwa tygodnie na jakiejś zacisznej

plaży w północnej Afryce czy w Indiach Zachodnich. W bikini dziewczyna na pewno będzie wyglądała rewelacyjnie.

Była to wspaniała wizja. Pomyślał, że zmarnował sobie dotychczasowe życie, ale wiedział, że to ekstrawagancka myśl. No więc dobrze, może nie zmarnował – miał jednak poczucie, że w młodości, zamiast zastosować rachunek różniczkowy, dzielił wielocyfrowe liczby „na piechotę”.

Zdecydował, że omówi ten problem z dziewczyną i proponowane przez siebie rozwiązanie. Ona oświadczy, że to niemożliwe, a on jej powie, że zawieranie skutecznych kompromisów jest jego specjalnością.

Tylko od czego zacząć? „Kochanie, chciałbym to powtórzyć, ale nie raz – chciałbym to powtarzać często”. Tak, tak chyba będzie w porządku. Ciekawe, co ona na to powie. „I ja też”. Albo: „Zadzwoń do mnie pod ten numer”. Albo: „Przykro mi, Timmy, ale jestem dziewczyną na jedną noc”.

Nie, nic z tych rzeczy; to niemożliwe. Ta noc okazała się przyjemna dla nich obojga. Był dla tej dziewczyny kimś wyjątkowym. Wyraźnie to powiedziała.

Wstał i zgasił papierosa. Podejdę do łóżka, pomyślał, ściągnę z niej delikatnie kołdrę i przez chwilę popatrzę na jej nagość. A potem się obok niej położę i będę całował jej brzuch, uda i piersi, aż się obudzi i wtedy znów zaczniemy się kochać.

Odwrócił się i wyrżał przez okno, czując miły dreszczyk oczekiwania. Rolls-royce w dalszym ciągu stał tam, gdzie się zatrzymał – jak szary ślimak w rynsztoku. Z jakiegoś względu jego obecność nie dawała mu spokoju. Wyrzucił go jednak ze swoich myśli i poszedł obudzić dziewczynę.

ROZDZIAŁ 2

Felix Laski miał niewiele pieniędzy, mimo że był bardzo bogaty. Jego majątek stanowiły udziały, ziemia, budynki oraz pewne dość mgliste aktywa, jak na przykład pół scenariusza filmowego czy jedna trzecia wynalazku, jakim było urządzenie do błyskawicznego wyrobu chipsów. Gazety często pisały, że gdyby wszystkie bogactwa Laskiego zamienić na gotówkę, byłyby to miliony funtów, a sam Laski równie często powtarzał, że zamiana jego walorów na gotówkę jest prawie niemożliwa.

Od stacji metra Waterloo do City szedł na piechotę. Uważał, że przyczyną większości zawałów u mężczyzn w jego wieku jest lenistwo. Obawa o zdrowie wydawała się bezsensowna u pięćdziesięciolatka tak sprawnego, że drugiego takiego próżno by szukać na Square Mile. Mając prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i klatkę piersiową jak rufa okrętu, był mniej więcej tak samo podatny na zawał jak młody byczek.

Kiedy szedł Blackfriars Bridge w ostrym świetle wczesnego poranka, wyglądał naprawdę imponująco. Miał na sobie drogie ubranie – od błękitnej jedwabnej koszuli po ręcznie robione buty; według standardów City był elegantem. We wsi, w której się urodził, każdy mężczyzna nosił bawełniane dreluchy i kaszkiet. Dlatego tak bardzo rajcowały go teraz dobre ciuchy: przypominały mu, że to już przeszłość.

Ale ubranie stanowiło tylko część wizerunku Laskiego. Jego interesy były zwykle obarczone ryzykiem albo oportunistycznym, albo jednym i drugim. Laski bardzo dbał o to, żeby innym wydawały się sprytniejsze, niż były w rzeczywistości. Opinia człowieka o niezwykłych umiejętnościach była dla niego warta

więcej niż bank kupiecki*.

Właśnie ta jego reputacja uwiodła Petersa. Mijając żwawym krokiem katedrę Świętego Pawła po drodze na miejsce spotkania, myślał o tym małym, ograniczonym człowieczku. Peters specjalizował się w ruchach gotówki – nie interesowały go kredyty, ale pieniądze w sensie fizycznym – jednym słowem, papierowe pieniądze. Pracował w Bank of England, głównym źródle legalnych środków płatniczych. Odpowiadał za tworzenie i niszczenie banknotów i monet. W każdym razie nie zajmował się polityką finansową – od tego był wyższy szczebel, może nawet rządowy – ale dobrze wiedział, ile pieniędzy potrzebowali w Barclays Bank, żeby móc tę politykę prowadzić.

Laski poznał go na przyjęciu z okazji otwarcia nowego biurowca, wybudowanego przez bank dyskontowy. Bywał na takich imprezach właśnie po to, żeby poznawać takich ludzi jak Peters – ludzi, którzy pewnego dnia mogli się okazać użyteczni. Pięć lat później Peters rzeczywiście okazał się użyteczny. Laski zadzwonił do niego do banku i poprosił o polecenie mu jakiegoś numizmatyka, który mógłby mu coś doradzić w sprawie zakupu starych monet. Peters oświadczył, że sam jest kolekcjonerem i może obejrzeć monety, jeśli to Laskiemu odpowiada. Fantastycznie – powiedział Laski i od razu skoczył po monety. Peters poradził mu, żeby je kupił, i zostali przyjaciółmi.

(Zakup ten zapoczątkował kolekcję, wartą obecnie dwa razy tyle co wtedy. Był to efekt uboczny, ale Laski miał powody do dumy).

Peters okazał się rannym ptaszkiem, częściowo dlatego, że tak lubił, ale również dlatego, że najwięcej operacji przeprowadzano

* Bank kupiecki – bank wyspecjalizowany w usługach finansowych i doradztwie dla przedsiębiorstw.

rano, więc najbardziej zajęty był przed dziewiątą. Laski dowiedział się, że Peters ma zwyczaj pić swoją codzienną kawę w konkretnej kawiarni około szóstej trzydzieści, i zaczął się do niego przyłączać, początkowo od czasu do czasu, a potem regularnie. Udając rannego ptaszka, piał pospół z Petersem peany na cześć cichych o tej porze ulic i rześkiego porannego powietrza. Tak naprawdę lubił wstawać późno, był jednak gotów do największych ofiar na rzecz nawet bardzo odległego celu, jeśli tylko widział szansę jego realizacji.

Wszedł do kawiarni, ciężko dysząc. W jego wieku nawet tak sprawny człowiek jak on miał prawo do lekkiej zadyszki po długim spacerze. W lokalu pachniało kawą i świeżym chlebem. Ściany były obwieszane plastikowymi pomidorami i akwarelami przedstawiającymi rodzinne miasto właściciela we Włoszech. Za kontuarem kobieta w roboczym kombinezonie i długowłosy chłopak produkowali góry kanapek dla setek klientów, którzy wpadali tu w porze lunchu. Gdzieś grało radio, ale niezbyt głośno, a Peters był już na swoim stanowisku przy oknie.

Laski wziął sobie kawę i kanapkę z pasztetówką i usiadł naprzeciwko Petersa, który zjadał pączki. Najwyraźniej należał do ludzi, którzy nigdy nie tyją.

– Zapowiada się ładny dzień – zagaił rozmowę Laski. Miał głęboki, dźwięczny głos jak aktor, z lekkim wschodnioeuropejskim akcentem.

– Piękny. O czwartej trzydzieści będę już w swoim ogrodzie – odparł Peters.

Popijając kawę, Laski patrzył na swojego towarzysza. Peters miał bardzo krótkie włosy, mały wąsik i napiętą twarz. Jeszcze nie zaczął pracy, a już mówił o pójściu do domu. Laski pomyślał, że to straszne. Na moment ogarnęło go współczucie dla tego

człowieka i wszystkich innych ludzi, dla których praca była środkiem, nie celem.

– Lubię swoją pracę – powiedział Peters, jakby czytał w jego myślach.

Laski ukrył zdziwienie.

– Ale wolisz swój ogródek, prawda?

– W taką pogodę tak, owszem. Masz ogród, Felix?

– Moja gospodyni hoduje kwiaty w skrzynkach. A ja nie mam jakiegoś szczególnego hobby – odparł Laski.

Zauważył, że Peters zwrócił się do niego po imieniu z lekkim wahaniem. Czuje do mnie szacunek, pomyślał. To dobrze.

– Nie masz czasu, tak? Pewnie dużo pracujesz.

– Tak mówią. Po prostu wolę spędzać czas między szóstą wieczorem a północą, zarabiając pieniądze, niż gapić się w telewizor, na aktorów udających, że się nawzajem zabijają.

Peters parsknął śmiechem.

– Okazuje się, że obdarzony największym w całym City polotem umysł w ogóle nie ma polotu.

– Nie rozumiem.

– Nie czytasz powieści ani nie chodzisz do kina, prawda?

– Prawda.

– Widzisz? Nie przepadasz za fikcją. Można to powiedzieć o wielu najbardziej przedsiębiorczych biznesmenach. Wydaje się, że to wynika z ich większej smykałki do interesów. Ta smykałka to u nich coś takiego jak wyostrzony słuch u ślepych.

Laski zmarszczył czoło. Poddawanie go analizie stawiało go w niekorzystnej sytuacji.

– Być może – mruknął.

Peters wyraźnie wyczuwał jego dyskomfort.

– Fascynują mnie kariery wielkich przedsiębiorców

– powiedział.

– Mnie też – przyznał Laski. – Specjalizuję się w wykradaniu dobrych pomysłów.

– Od czego się zaczęło, Felix?

Laski się odprężył. Znalazł się na bardziej znajomym gruncie.

– To chyba było Woolwich Chemicals – odparł. – Mała fabryka farmaceutyczna. Po wojnie otworzyli na High Street niewielką sieć aptek, chcąc zapewnić zbyt dla swojej produkcji. Problem polegał na tym, że wiedzieli wszystko o farmaceutykach, ale nie mieli zielonego pojęcia o sprzedaży detalicznej, więc apteki pochłaniały większość zysków z produkcji. Pracowałem w tym czasie dla pewnego maklera giełdowego i grając na giełdzie, zarobiłem trochę pieniędzy. Poszedłem do szefa i zaproponowałem mu pięćdziesięcioprocentowy udział w zyskach w zamian za sfinansowanie transakcji. Kupiliśmy tę wytwórnię i natychmiast sprzedaliśmy ją ICI za prawie tyle samo, ile zapłaciliśmy za udziały. A potem jedną po drugiej sprzedaliśmy apteki. Wszystkie miały fantastyczną lokalizację.

– Nigdy takich rzeczy nie zrozumieć – stwierdził Peters. – Jeśli wytwórnia i apteki były tyle warte, to dlaczego udziały były takie tanie?

– Bo przedsiębiorstwo traciło pieniądze. Od lat nie otrzymywali dywidendy. Można powiedzieć, że zarząd nie miał odwagi wziąć tego, co mu się należało. A my mieliśmy. W interesach najważniejsza jest odwaga – wyjaśnił Laski i zaczął jeść kanapkę.

– To fascynujące – powiedział Peters i spojrzał na zegarek. – Muszę iść.

– Ciężki dzień? – zapytał Laski lekkim tonem.

– Dziś jest jeden z tych dni. A to zawsze oznacza ból głowy.

- Rozwiązałeś problem?
- Jaki?
- Tras. – Laski odrobinę ściszył głos. – Twoja ochrona chciała, żebyś za każdym razem posyłał konwój inną drogą.
- Nie. – Peters był zmieszany. Mówiąc o tym Laskiemu, popełniał niedyskrecję. – Tak naprawdę istnieje tylko jedna sensowna trasa, którą można się tam dostać. Chociaż... – Wstał.
- Laski uśmiechnął się, próbując zachować swobodny ton głosu.
- To znaczy, że dzisiejsza duża partia idzie starą bezpośrednią trasą.
- Peters położył palec na ustach.
- Ochrona – powiedział.
- Jasne.
- Potem sięgnął po płaszcz przeciwdeszczowy.
- Do widzenia.
- Laski uśmiechnął się szeroko.
- Do zobaczenia jutro.

ROZDZIAŁ 3

Arthur Cole wychodził z metra, ciężko dysząc; w piersiach grało mu nieprzyjemnie. Owionął go ciepły podmuch dochodzący z wnętrza kolei podziemnej, otulając go szczerlnie i odpływając. Kiedy znalazł się na ulicy, zatrzęsło nim lekko.

Zdziwił go blask słoneczny – gdy wsiadał do pociągu, ledwie zaczynało świtać. Powietrze było rześkie, przyjemne. Później będzie dostatecznie trujące, żeby zwalić z nóg kierującego ruchem policjanta. Cole przypomniał sobie, kiedy zdarzyło

się to po raz pierwszy – reportaż na ten temat opublikował „Evening Post”.

Szedł wolno, próbując uspokoić oddech. Dwadzieścia pięć lat pracy w prasie zrujnowało mi zdrowie, pomyślał. Prawdę mówiąc, każda inna działalność zawodowa też by do tego doprowadziła, bo Cole był podatny na stres, źle znosił alkohol i miał słabe płuca, ale zwalenie całej winy na dziennikarstwo wyraźnie poprawiało mu nastrój.

Tak czy inaczej, rzucił palenie. Nie palił od – spojrzał na zegarek – stu dwudziestu ośmiu minut, a jeśli doliczyć noc, wyszłoby w sumie osiem godzin. Miał już za sobą kilka sytuacji obarczonych ryzykiem zapalenia: zaraz po tym, jak zadzwonił nastawiony na czwartą trzydzieści budzik (zwykle wypalał jednego papierosa w ubikacji), kiedy wyjeżdżał swoim fordem z domu, wrzucał najwyższy bieg i włączał radio, żeby posłuchać wiadomości o piątej, kiedy przyspieszał na pierwszym odcinku szybkiego ruchu na A12 – i wreszcie na zimnej otwartej stacji metra w East London, gdy czekał na pierwszy poranny pociąg.

Wiadomości BBC o piątej specjalnie go nie ucieszyły. Skupiły na sobie całą jego uwagę, ale trasa była tak znajoma, że zakręty i ronda brał automatycznie. Najważniejsza informacja pochodziła z Westminsteru: w parlamencie przyjęto najnowszą ustawę dotyczącą stosunków pomiędzy pracodawcami i pracownikami, chociaż przeszła minimalną większością głosów. Tę informację podali już poprzedniego dnia wieczorem w telewizji, a to oznaczało, że będzie w porannych gazetach. Ale „Post” nic z tym nie robi, chyba że później w ciągu dnia jeszcze coś się w tej sprawie wydarzy.

Była też wiadomość o wskaźniku cen detalicznych. Źródło – oficjalna statystyka rządowa, a co za tym idzie, embargo do

północy, więc wiadomość ukaże się w porannej prasie.

Bez zdziwienia przyjął informację, że nadal trwa strajk pracowników przemysłu samochodowego – mała szansa, że sprawa zostanie załatwiona w ciągu nocy.

Rozgrywki krykietowe w Australii rozwiązały problem redaktora działu sportowego, jednak ich wynik był za mało sensacyjny jak na pierwszą stronę.

Cole zaczął się martwić.

Wszedł do budynku „Evening Post” i wszedł do windy. Redakcja informacyjna zajmowała całe piętro. Było to ogromne pomieszczenie bez ścian działowych, w kształcie litery I. Wejście znajdowało się u podstawy tej litery. Na lewo były maszyny i telefony maszynistek, które zapisywały wiadomości podawane przez telefon; na prawo szafy na dokumenty i półki dziennikarzy różnych działów – politycznego, przemysłowego, kryminalnego i innych. Cole przeszedł wzdłuż sali pomiędzy rzędami biurków należących do zwykłych reporterów i podszedł do długiego biurka działu informacji, dzielącego pomieszczenie na dwie części. Za nim był stół adiustatorów w kształcie litery U, a dalej mieścił się dział sportowy, na pół niezależne państwo w państwie, z własnym redaktorem naczelnym, reporterami i adiustatorami. Cole od czasu do czasu oprowadzał po redakcji ciekawskich krewnych, którym zawsze mówił: „To powinno działać jak linia produkcyjna, ale bardziej przypomina burdel”. Była to przesada, jednak zawsze wywoływała śmiech.

Jasno oświetlone pomieszczenie wydawało się zupełnie puste. Jako zastępca redaktora naczelnego działu informacji Cole miał część biurka dla siebie. Otworzył szufladę i wyjął monetę, a potem podszedł do znajdującego się w dziale sportowym automatu z napojami i wystukał herbatę z mlekiem i cukrem.

Automat zaterkotał, zakłócając ciszę.

Kiedy Cole wrócił z papierowym kubkiem do siebie, trzasnęły drzwi w drugim końcu redakcji i pojawił się w nich niski, siwy mężczyzna w puchowej kurtce i spodniach spiętych rowerowymi klipsami. Cole pomachał mu ręką na powitanie.

– Siemasz, George.

– Cześć, Arthur. Czy jest ci zimno?

George zaczął zdejmować kurtkę. Ciało wewnątrz nie było małe i chude. Mimo jego wieku nazywano go Głównym Gońcem – był szefem zespołu redakcyjnych kurierów. Mieszkał w Potters Bar i dojeżdżał do pracy rowerem, co dla Arthura było nadzwyczajnym wyczynem.

Odstawił kubek, strząsnął z siebie płaszcz przeciwdeszczowy, włączył radio i usiadł. Radio zaczęło mruczeć. Popijając herbatę, patrzył prosto przed siebie. Pomieszczenie wyglądało niechlujnie – krzesła poustawiane byle jak, biurka zavalone gazetami i arkuszami papieru maszynowego. Z powodu ubiegłorocznego programu oszczędnościowego zrezygnowano z remontu, ale otoczenie było zbyt znajome, żeby dostrzegać takie rzeczy. Myśli Cole’a krążyły wokół pierwszego wydania gazety, które miało się pojawić na ulicach za trzy godziny.

Dzisiejsze pierwsze wydanie będzie miało szesnaście stron. Czternaście z nich istniało już w postaci wypukłych metalowych płyt w prasie drukarskiej na dole. Zawierały reklamę, artykuły, programy telewizyjne i wiadomości podane w taki sposób, żeby czytelnicy nie zwrócili uwagi na ich aktualność – przynajmniej takie były założenia. Dzięki temu ostatnia strona pozostawała dla redakcji sportowej, a pierwsza dla Arthura Cole’a.

Parlament, strajk, inflacja – to wszystko były wczorajsze historie. Każdą z nich dałoby się ubrać w dzisiejszy wstęp, jak

na przykład: „W dniu dzisiejszym Rada Ministrów wszczęła dochodzenie w sprawie niemal pewnej wpadki rządu...”. Zawsze można coś takiego zrobić. Wczorajsza katastrofa stawała się dzisiejszym newsem: „Dzisiejszy świt ujawnił cały horror...”. O wczorajszym morderstwie można było napisać: „Detektywi przetrząsnęli dziś Londyn w poszukiwaniu mężczyzny, który...”. Problem Arthura rodził dziesiątki banałów. W cywilizowanym społeczeństwie, gdyby nie było newsów, nie istniałyby gazety. Ze zniecierpliwieniem wyrzucił z głowy tę wyświechtaną myśl.

Wszyscy się zgadzali, że przez trzy dni na sześć pierwsze wydanie to śmiecie. Nie była to jednak żadna pociecha, ponieważ dzięki temu Arthur Cole miał pracę. Od pięciu lat piastował stanowisko zastępcy redaktora informacyjnego. W tym czasie stanowisko naczelnego dwukrotnie wakowało, ale za każdym razem dawano je młodszemu kandydatowi. Ktoś zdecydował, że bycie numerem dwa to szczyt jego możliwości, z czym Arthur absolutnie się nie zgadzał.

Jedynym sposobem zademonstrowania dziennikarskiego talentu było zrobienie idealnego pierwszego wydania. Niestety, jego jakość w dużej mierze zależała od szczęścia. Cole przyjął strategię polegającą na tym, że ich gazeta miała być konsekwentnie trochę lepsza od pierwszego wydania konkurencji. I uważał, że mu to dobrze wychodzi. Nie wiedział, czy ktokolwiek z kierownictwa to dostrzega, ale nie zamierzał się tym przejmować.

Do jego biurka podszedł George i zwałił na blat stertę gazet.

– Młody Stephen dzwonił, że znów jest chory – powiedział.

– Kac czy katar? – zapytał Arthur.

– Pamiętasz, co nam zawsze powtarzano? Jeśli możesz chodź, możesz pracować. Ale to nie ci młodzi.

Arthur kiwnął głową.

– Mam rację? – zapytał George.

– Masz rację.

Byli kiedyś kolegami w „Post”, ale po wojnie Arthur otrzymał legitymację Związku Zawodowego Dziennikarzy, a George, którego nie powołali do wojska, został gońcem.

– Byliśmy zapaleńcami – stwierdził George. – Chcieliśmy pracować.

Arthur wziął ze sterty „Morning Star”. Nie po raz pierwszy George narzekał na swoich podwładnych i nie po raz pierwszy Arthur mu współczuł. Wiedział jednak, na czym polega problem z gońcami. Trzydzieści lat temu bystry goniec mógł zostać reporterem; teraz ta droga awansu była zamknięta. Nowy system miał podwójny skutek: bystrzy chłopcy uczyli się dalej, a ci, którzy zostawali gońcami, wiedzieli, że nie mają żadnych perspektyw, i w wykonywaną pracę nie wkładali zbyt wiele wysiłku. Ale nie mógł tego powiedzieć George’owi; byłoby to zwrócenie uwagi na fakt, że powiodło mu się znacznie lepiej niż jego staremu kumplowi. Dlatego wołał przyznać, że dzisiejsza młodzież jest zepsuta.

Jednak George nie zamierzał skończyć swoich utyskiwań, więc Arthur przerwał mu pytaniem:

– Były w nocy jakieś ciekawe depesze?

– Zaraz sprawdzę, tylko że wszystko muszę załatwiać sam...

– Chciałbym najpierw zobaczyć oryginał.

Arthur się odwrócił. Nie znosił podkreślania zależności służbowej i nigdy nie nauczył się robić tego w sposób naturalny – może dlatego, że nie sprawiało mu to przyjemności. Spojrzał na „Morning Star”. Tematem dnia konkurencji była ustawa dotycząca stosunków między pracodawcami a pracownikami.

Mało prawdopodobne, żeby na dalekopisie znalazły się jakieś wiadomości krajowe; było na to za wcześnie. Ale wiadomości zagraniczne napływały sporadycznie w ciągu nocy i na ogół trafiała się wśród nich przynajmniej jedna historia, która w razie konieczności mogła robić za sensację. Nie było nocy, żeby gdzieś na świecie nie wybuchł jakiś duży pożar albo nie doszło do wielokrotnego morderstwa, zamieszek czy zamachu. „Post”, jako gazeta londyńska, unikał wykorzystywania wiadomości zagranicznych jako tematu dnia, chyba że chodziło o prawdziwą sensację. W każdym razie w depeszach mogłoby się znaleźć coś lepszego niż „W dniu dzisiejszym Rada Ministrów wszczęła dochodzenie...”.

George rzucił na biurko Arthura arkusz papieru długości kilkudziesięciu centymetrów. Nie tnąc go na poszczególne doniesienia, dawał wyraz swojemu niezadowoleniu. Prawdopodobnie miał nadzieję, że kolega zacznie wybrzydząć, co by mu pozwoliło podkreślić, jak dużo ma roboty z powodu nieobecności młodego gońca. Grzebiąc w szufladzie w poszukiwaniu nożyczek, Arthur zaczął czytać.

Najpierw news polityczny z Waszyngtonu, potem sprawozdanie z rozgrywek krykietowych reprezentacji narodowej i skrót najważniejszych wiadomości ze Środkowego Wschodu. Był w połowie jakiejś hollywoodzkiej historii rozwodowej, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i powiedział:

- Redakcja.
- Mam historię do waszej rubryki plotkarskiej – oświadczył jakiś mężczyzna z silnym akcentem cockney.

Cole od razu stał się sceptyczny. Nie był to głos człowieka, który mógł mieć informacje z pierwszej ręki na temat życia

intymnego arystokracji.

– Zechce pan podać mi swoje nazwisko?

– Nie ma potrzeby. Wie pan, kto to jest Tim Fitzpeterson?

– Oczywiście.

– Właśnie robi z siebie durnia, zadając się z taką jedną rudą, która musi być ze dwadzieścia lat młodsza od niego. Chce pan jego numer telefonu?

– Poproszę. – Cole zapisał numer. Zaczynało go to interesować. Gdyby małżeństwo ministra się rozpadło, byłaby to dobra historia nie tylko do kolumny plotkarskiej. – Kim jest ta dziewczyna? – zapytał.

– Mówi o sobie, że jest aktorką. Ale to zwyczajna dziewczyna. Niech pan zadzwoni do niego zaraz i zapyta go o Dizi Disney. – Połączenie zostało przerwane.

Cole zmarszczył czoło. Było to dość dziwne. Większość informatorów domagała się pieniędzy, szczególnie za wiadomości tego typu. Wzruszył ramionami. Mimo wszystko warto to sprawdzić. Później nada tę sprawę reporterowi.

Zaraz jednak zmienił zdanie. Niezliczone historie przepadały na zawsze tylko dlatego, że odkładano je na kilka minut. Fitzpeterson mógł pojechać do parlamentu albo do swojego biura w Whitehall. Informator powiedział przecież: „Niech pan zadzwoni do niego zaraz”.

Cole zajrzał do notesu i wybrał numer.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).